

NUMER SPECJALNY: „FOCH W WARSZAWIE“

Konto P. K. O. 149.247. — Należytość pocztową opłacono ryczałtem. — Abonament kwartalny 24000 Mk.

Nr. 18. Rok VI.

LWÓW-WARSZAWA-KRAKÓW-POZNAŃ-WINO. 3. MAJA 1923.

Cena **2000**Mk.

SZCZUTEK

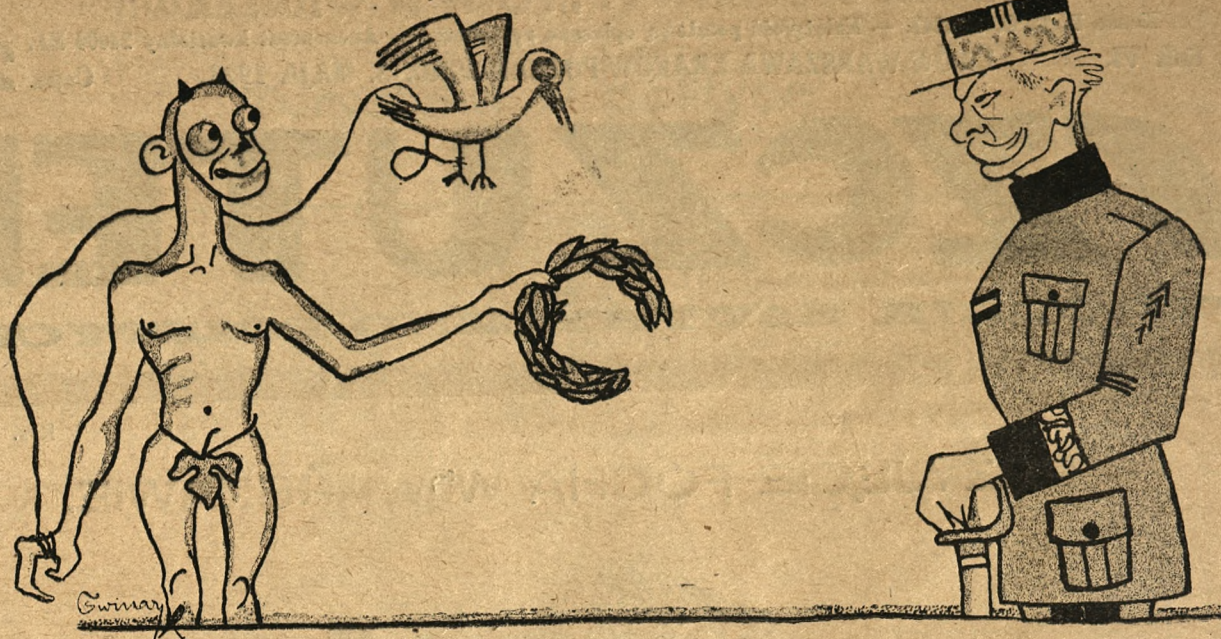
TYGODNIK SATYRYCZNO-POLITYCZNY

Rys. Z. Czernański.

PRZYJĘCIE FOCHA W WARSZAWIE.



Marszałek Foch: Panowie liłości! Pozwólcie mi wytchnąć...



Witaj nam witaj miły hospodynie!

Panie Marszałku! wielka to jest śmiałość,
Że „Szczutek“ także, zasług Twoich pomny,
W pompę przyjęcia i kwiatów wspaniałość
Chce wpleść wianuszek mizerny i skromny,
Czcząc Twoją wielkość zwrotką nieudolną —
Ale co innym wolno i nam wolno!

Nie chcemy długą męczyć Cię gawędą,
Ani w sążniste wdawać się oracje,
Dosyć Ci dziurę w brzuchu wiercić będą
Wodze, ministrowie, rajce, delegacje,
Bowiem gadulstwo i szafarstwo słowa
To staropolska wada narodowa.

Krasomówczego więc zbywszy się kremu,
Co myśl istotną najczęściej uśmierca,
My Cię powitać chcemy po dawnemu,
Chlebem i solą i kawałkiem serca —
Skoroś się znalazł w Lechickiej krainie:
Witaj nam witaj miły hospodynie!

Henryk Zbierzchowski.

Z Cyklu: PODBOJE FRANCJI.

Biali Bracia.

Wśród gąszczy podchodzących pod kamienisty pagórek, żółkniaty kuliste kleconki, splecione, zlezione czarnymi, długimi rękoma.

I od setek lat codzień, gdy żar słońca Afryki ustanie, rozbrzmiewają kleconki gwarliwymi głosami odętowargich bab i piskliwymi zwadami welnastowłosych bachorów, gwarem lejącym aż do morza.

Przed wiekami zjechali do wioski biali w kolorowych szatach, z bródkami zadzierzystemi. Poczęli czarnych brać na spytce, rozdawać im jakieś amulety, a potem palić na stosie.

I pewnej nocy Murzyni zebrali się i asagojami swymi wykłuli Hiszpanów.

Po wielu, wielu latach zjechali Portugalczycy. Przywieźli wódkę, wino i ochotę do kobiet. Porywali po trzy po cztery czarne dziewczuchy.

I napłodzili plemię śniade, kędzierzawe, otaczane wzgardą bezbrzeżną przez białych, nienawiścią głęboką przez czarnych.

Pewnej więc nocy zebrali się Mu-

rzyni i asagajami swymi wykłuli plemię pokurczów.

Znowu upłynęło bardzo wiele lat i na wybrzeżu wylądowali nowi biali. Mieli śliczne białe mundury, świetnie strzelające karabiny, czarni więc bez szemrania poddali im się.

Biali przywieźli ze sobą tablicę z napisem „Arrest“ i kilkaset tablic z napisem „Verboten“.

Do więzienia wsadzali za picie, za kochanie się, za kąpanie, za przechadzanie się, nawet za to, że mąż zabił niewierną żonę. Straszni ludzie.

Murzyni więc z radością powitali ów dzień, gdy w ich wsi pojawili się biali z innego plemienia i pomogli im wykłuć Niemców.

Nowi panowie nie mieszały się do przyzwyczajęń murzyńskich. Za to handlować poczęli, czem się dało.

I zdarzyło się raz, że Murzyn przystąpił do białego, żądając obiecanej mu wódki.

— Daj mi, zacoś wziął pieniądze.

— Masz kwit? — spytał z uśmiechem rudy człowieczek, nie wyjmując fajki z gęby.

Murzyn skwitował go pałką przez głowę.

Nie minęło dni parę, przed wioską pojawił się na morzu statek z flagą Królowej Mór.

Puścił parę granatów.

Z kleconek została kupka popiołów.

I teraz na pogorzeliśkach zjawili się Biali Bracia. Pomagają odbudowywać zgłiszczę. Dźwignęli też dla siebie chałupkę.

W niej mówią kędzierzawym głowom o Człowieku z Brodą.

Ale też uczą ich pięknej dźwięcznej mowy, która jest silna jak huk wodospadu i jak pluskot fal wieczornych słodka. Uczą ich czcić siebie, szanować słabych. Uczą ich ufności w moc uśmiechu pogodnego. Uczą ich, że piękno można ujrzyć wszędzie, a siac trzeba wszędzie.

I co wieczór wychodzi starszy brat na brzeg morza, zwraca twarz w dal niesiężną okiem i modli się. Oby wszystkie czarne główki zrozumiały kiedyś słowa, które umieją już pisać na tablicy.

La gloire de la Patrie.

pi

LIST Z FRANCJI.

Bartek Drapała wyjechał na roboty do Francji. Jego Magda poleciła go Panu Bogu i Matce Najświętszej, a jeszcze na odjeździe przypomniała mu:

— A piśz do mnie, nie leń się i nie zapominaj o swej babie!

Lecz jakoś długo nie przychodził list od Bartka. Magda lamentowała, fartuchem ocierała oczy; różni różni jej perswadowali zmartwienie, dopiero pan organista wyjaśnił z powagą, godną sługi domu Bożego.

— Dyc jak ma pisać, kiedy nie umie pisać?

Ale jakoś Pan Bóg łaskaw i pocziwe kobiecisko naszego analfabety dostało wreszcie list z Francji.

Naprzód się rozplakała, potem list otworzyła, potem naoglądała i z powrotem złożyła.

Magda Drapalina też czytać nie umiała.

Zaniosła do sąsiada, który czytać wielki był.

Sąsiad list otworzył, oglądał tak, oglądał wspak, przypatrzył się z bliska, z daleka.

— Tfy, ki djabel?...!

— Cóż pedacie, coś złego, niech Ręka Najświętsza chroni...

— Nie, jeno Bartek pisze... po francusku.

Nie chciało wierzyć się Magdzie, zaniosła tedy do organisty. Organista jako człek uczony, przez okulary przyzierał się pisaniu Drapały i zawyrokował:

— Po francusku! Ale to nie Bartek pisze, gdzieby on takie fiksyfaksy wypisał! Jakąś dziewczuchą, Francuska, napisała za niego.

A Magdzie jakby kto widły wbił pod serce. A niedobry organista dogadywać począł jakieś bezceństwa, Boże przebac, że Bartek ani nie popatrzy się teraz na proste baby wsio-we bez majtków i bez pończochów, jak we Francuskach zasmakował.

— Dość tej obrazy Boskiej. Ale co tam stoi?

— Niby gdzie?

— W liście tym...

— Widzicie, bo to, Drapalino, ja po francusku nie czytam.

Magda zapakowała w koszyk jaj, kogucika i coś niecoś, niewypominający — i poszła na plebanję. Ksiądz proboszcz łaskawie spojrzał na Magdę i na koszyk. Rozłożył list na stole i przebiegł oczyma wyrazy pisania:

Drogue à jaune eau, dos pierre ôter race Mogin cel au bon peau guajits, yes, thème tout contente. Falle à beau goût Sdrau vieux moyen d'eau Brét y mamme d'Oujosa robe cou. Peau le Tsamtien pas mous beau goût: viér-nuit mange.

Popatrzył się raz i drugi. Nic. Co to znaczy? Co za dziwne wyrazy?

Co to za „drogue à jaune eau“? Zaraz na początek! Lekarstwo na żółtą wodę? Lekarstwo z żółtej wody? Parafjanin Drapała chory? Czy mówić to stroskanej babinie? A dalej? Same wyrazy bez związku! Są i imiona własne.

Guajits, Tsamtien...

Tsamtien... jaune eau...

Nazwiska anamskie, tonkińskie, albo — kambodżańskie! Nazwiska ludzi rasy żółtej...

Przypomniał sobie, co mu opowiadał pewien Hallerczyk, jak Francuzi jeszcze w czasie wojny sprowadzili setki tysięcy żółtych kulisów.

Tsamtien...

A ten wyraz angielski — „yes“. (Jedyne słowo angielskie, jakie znał ksiądz proboszcz.) Poznać, że pisał to ktoś z kolonii, tam gdzie jedzie się okrętami. Wiadomo, marynarze całego świata przeplatają opowiadania swe angielszczyzną..

I ksiądz proboszcz począł wywodzić babinie z Koziej Wólki o Kochinchinie, o ludziach żółtych, o tem jak oni łamią francuskie i angielskie (że też to Pan Bóg ich nie połamie) i wytłumaczył Magdzie, że trudno zrozumieć co taki pan z Indochin pisze. Dla ilustracji, pokazał jej rycinę z wyobrażeniem Vikszów, ciągnących jakąś białą damę.

Baba w bek.

— Tegom się doczekała, żeby to, żeby jak, ale z taką żółtą djablicą! Pierwszy raz na kuli ziemskiej małżonka jakaś rozpaczała, że jej rywalka jest brzydka.

Zaciekawiony ksiądz poprosił Magdę, aby mu dała list męża w przechowanie, obiecując jej zato pomodlić się nad nim do Przemienienia Pańskiego.

Wnet potem wyjechał do dworu sąsiedniego. Córka domu studiowała romanistykę na uniwersytecie i ze skwapliwością chwyciła list, rzekomo napisany w żargonie francusko-kambodżańskim.

Głośno poczęła czytać:

— „Droga żono dopiero teraz mogę...“ ... Ależ kięże, toć to czysta polszczyzna, jędrna, chłopska, jeno dyktowana Francuzowi, coś więc dziwnego, że ortografią francuską — a niezwykle dla ucha francuskiego słowa poprzymieniano na imiona własne! Ha ha ha!

I odczytała panienka cały list, który pisał wierny mąż.

Ksiądz przeczytał potem epistolę Magdzie, tłumacząc jej kwestję ortografii polskiej a francuskiej.

A bogobojna analfabetka ciągiem martwiła się. Małpa z żółtym pyskiem, w czarnych majtkach, jest aż — grafją!

KOŃ KSIĘCIA PEPI.

Opowiadają sobie w stolicy nad Wisłą, (choć może wiadomość ta nie jest [zbyt ściśłą],

że kiedy miano przewieźć rzeźbę [Torwaldsena,

pokazało się wtedy — podróży tej cena od zamkowych podworców przed

[Sztab Generalny wzrosła znów niebywale w sposób

[kapitałny i aby go postawić na cokołu szczycie

trzeba jeszcze dwadzieścia milionów, [słyszycie?

Ksiązę Pepi na grecko (półbóg [złotej młodzi)

wzruszył jeno ramiony: „Co to mnie [obchodzi?“

„Czy tutaj, czy tam stoję? Wszak jestem [nieżywy!

Ale koń jego, choć bydle, jednak [mniej cierpliwy,

dźwigając swego pana tak długo [z wysiłkiem,

miałesz też gdzieś zmarnieć? Wymyka [się chytkiem

więc o zmroku i pędzi z wdziękiem [Bucefała

w skok do pewnej redakcji, gdzie siedzi [Grzymała.

I tam swoje błagalnie składając kopyta: „Tacyż to są Polacy? — z oburzeniem

[pyta — „Mamyż nie wyjść na słońce, choć tak

[blisko celu przez te marne miliony? Ratu!

[przyjacielu!“ Siedlecki się zasepił... Wtem mu myśl

[zaświta: „Wiwat Sejm! Wiwat Naród

[i Rzeczpospolita! Szczęśliwe przeznaczenie, co cię do

[mnie wiodło!“ Wsadza mu w pysk skarbonkę, a na

[niej jest godło wyryte: *Ksiązę Józef i Honor Polaków!*

Idź z tem w świat, między rzesze, [niech sięgną do saków!

Tak od szynku do szynku biegał [księcia rumak,

aż biletów skarbowych zebrał cały [tłumok.

Na ucho powtarzają to w syrenim [grodzie,

ale że robić plotki obecnie jest [w modzie —

niewiem jak to tam było, chociaż [wieść obiega.

Dość, że stanął przed Foch'em z pod [Lipska kolega

także marszałek Francji: Z bronzu — [ksiązę Pepi,

a co do tych milionów — koń to [wie najlepiej!

I w dniu Trzeciego Maja woła Polska [cała:

Wiwat Foch — Poniatowski [i — zacny Grzymała!

Tadeusz Michał Nittmann.

Nikt chyba nie domyśla się, że sprawa wykopalisk egipskich, znalezienie mumii Tutankhamona i śmierć lorda Carnarvona, przyczyniły się do mojej kompletnej ruiny finansowej, o czym zresztą donieśli reporterzy gazetarscy mego miasta rodzinnego Kołtunowa Wielkiego, rozdmuchując ową sprawę do epokowego zdarzenia.

Sprawa miała się następująco:

Przy kopaniu studni, na mojem podwórzu, wydobyli robotnicy jakiś szkielet ogromnych rozmiarów, o którym nikt nie mógł dokładnie powiedzieć czy należał do czworonoga, czy też do recenenta teatralnego. W każdym razie było to jakieś duże bydlę, którego kości kazałem zebrać i zakopać w przydrożnym rowie.

Któż opisze moje zdziwienie, kiedy w kilka dni później zgłosił się do mnie komisarz policji i wszczął ze mną następujący dialog.

— Pan się nazywa?

— Kto? ja?

— Aha.

— Ja?

— Ta niby tak!

— Ja się nazywam Wincenty Galicyjski.

Komisarz notował.

— Gdzie pan schował tego mamuta indyjskiego, czy choroba wie, co to było?

— Ja nie chowałem żadnego mamuta. To było jakieś zwyczajne bydlę.

Komisarz zaśmiał się chytrze.

— Niech mi pan głowy nie kręci i wskaże, gdzie leży ten „eisbär“, czy co to za nagła cholera była.

Odmówiłem wszelkich wyjaśnień, gdyż sądziłem się w prawie wyrzucić kości, które znalazłem na swoim gruncie.

Komisarz odszedł oburzony i w kilka dni później otrzymałem na piśmie grzywnę dwa miliony marek w drodze kary administracyjnej za obrazę urzędnika w służbie.

Sprzedałem rury betonowe, które zakupiłem do studni i zapłaciłem grzywnę, gdy na drugi dzień zjechała na moje podwórze komisja weterynaryjno-sądowa.

Po orzeczeniu weterynarza, że kości te pochodzą z dyluwialnego potwora zwanego „Bos primigenius“, wydobyto ów szkielet i złożono w mojej sypialni, którą do przybycia komisji archeologicznej z Warszawy, opieczutowano.

Część komisji weterynaryjno-sądowej opuściła mój dom w najwyższym oburzeniu, nazywając mnie wandalą i profanem, który świadomie niszczy dorobek kultury narodowej.

Nie potrzebuję zapewniać, że dzienniki zarzuciły mi w dłuższych artykułach zdradę narodową, bolszewizm, brak dokumentów rejestracyjnych i



Gen. Żeligowski.

nielegalne przebywanie na ziemiach Rzeczypospolitej.

Czy dziwić się, że natychmiast zostałem odosobniony od reszty zdrowego społeczeństwa kordonem podejrzeń krata „oburzenia opinii publicznej“ i innymi wałami przesądów, wśród których najwyższą się piętrzyły wały prasowe?

Nad głową moją zawisły groźne chmury.

Komisja archeologiczna wraz z konserwatorem zabytków zjechała w bardzo krótkim czasie i wydała następujące orzeczenie:

„Szkielet znaleziony na parceli gruntowej Wincentego Galicyjskiego nie ma nic wspólnego z mumią Tutankhamona, gdyż są to organiczne szczątki starszego okresu dyluwialnego, który cechuje ta sama wartość archeologiczna, co epokę kamienną strefy polarnej. Zdaje się, że jest to szkielet t. zw. Rhinocerosa tichorhinusa, którego wartość archeologiczna jest wprost nieoceniona. Okaz ten — jak odkrycia w dyluwialnych lodach Syberji wykazują — był pokryty gęstą wełnistą sierścią, a między zębami trzonowymi o koronie sęczkowanej, znachodzą się rozmiażdżone resztki polarnej roślinności. Rhinoceros Tichorhinus jest wbrew orzeczeniu konserwatora, tylko Rhinocerus, a nie Glyptodonem ani Mylodonem z epoki dyluwialnej południowo-ame-

rykańskich Pampasów, Nowej Zelandji i Australji.

Znaleziony okaz wyrzucony barbarzyńsko do rowu przez rzekomo inteligentnego człowieka, jakim się mianuje Wincenty Galicyjski, przedstawia wartość kilkuset milionów dolarów“.

I któż z was się zdziwi, że opieczutowano mi cały dom do czasu, aż mamut nie zostanie przewieziony przez specjalną Komisję repatrjancko-rewindykacyjną do Warszawy?

Wyprowadziłem się więc do hotelu z rodziną, gdzie przesiadywałem całymi dniami w zamknięciu płonąc ze wstydu nad swoim mimowolnym wandalizmem. Teściowa moja, która zjechała aby „patrzeć na szczęście swoich dzieci“, została ulokowana również w hotelu.

W przeciągu miesiąca wydałem wszystkie swoje oszczędności, więc przyjąłem gościnę w domu dla starców, a żona moja zgłosiła się do pracy przy robotach ziemnych, które prowadzono na podwórzu, gdzie zamierzalem studnię założyć.

Kopano i szukano dalszych wykopalisk pod kierunkiem zagranicznych archeologów, którzy zjechali z ramienia Ligi Narodów i swoje spostrzeżenia wraz z ilustracjami zamieszczali w „Transactions of the Royal Society of London“ i w „Memoires de la Société d'histoire naturelle“ w Paryżu.

W miejscowej prasie wyszukano mi tymczasem całą rozprószoną po świecie rodzinę, której część zapełniała kryminały całej Europy, część była czynną w czerezwyczajkach — a część wypierała się w wywiadach reporterskich, wszelkiej ze mną styczności, jako, że od dzieciństwa ich kompromitowałem.

— Byłem — jak to mówią — zarznięty!

Aż wczoraj... wczoraj... Niech będzie ten dzień błogosławiony! Wczoraj zgłosił się do mnie pan Antoni Wątróbką, rzeźnik w domu, gdzie mieszkalem i zeznał wśród płaczu, że to on przed wojną zakopał na podwórzu krowę, która mu padła na zarazę pyskową.

Ruszony moją niedolą, zaprzysiągł i przedstawił dziesięciu świadków, którzy również zaprzysięgli przed Wysokimi Władzami, reporterami „Rozwojów“ i „Ligą praw zwierzęcia“ że ów szkielet był i jest szkieletem pocziwej krowiny, co padła jeszcze przed wojną, aby nie widzieć i nie słyszeć tego co się dzieje po wojnie.

RAORT.



Dodatek „SZCZUTKA“

Cena ogłoszeń wynosi 1,200.000 Mp. za całą stronę. — Mniejsze ogłoszenia w stosunku do pomiaru strony.

Karykatury wojskowe Jotesa.



Gen. Józef Haller.

ZE STARYCH ANEGDOT.

Żmudzin jeden, Władysławowi Jagiellie opowiadającemu Zmartwychwstanie, rzekł:

— Juści ja wierzę, miłościwy królu, że zmartwychwstaniemy, ale obaczysz, że z tego nic nie będzie. (*Bielecki*)

*

Żydowski Jan, sędzia grodzki krakowski, rozgniewał się, gdy mu pan Obrożny żartem powiedział:

— Jedz-że waszmość, panie Żydowski, nie strefnisz się, bo to nie ze słoniną.

— Tem ci gorzej — odpowie pan Żydowski — że z masłem, a jeszcze starem i na kredyt wziętem. (*Paprocki*)

*

Tegoż pytano się raz:

— Mości panie sędzio! czy za cudzołóstwo jest kara śmierci?

— Nie mości panowie, bo was tu przecie wszystkich widzę z głowami. (*Idem*)

Kalinowski hetman koronny, mawiał:

— Wolę buty żółte, jak czerwone, bo wojenne ptaki jak jastrzębie, krogulce lub orły żółte nogi mają. Czerwone zaś nogi u wszystkich pieszczonych ptaszków. (*X. Łosiewski*)

*

X. Kałaski, Jezuita, kaznodzieja króla Jana III., w czasie kazania na Trzech króli, rzekł do niewiast, aby sobie z Bucefała, konia Aleksandra Wielkiego, przykład brały. A gdy po kazaniu pytały go niewiasty, jakaby ów Bucefał cnotliwością się odznaczał, rzekł: bo ten koń niedał się nikomu dosiąść, tylko swojemu panu.

*

Marcin, Leśniowski, mąż wielkich zasług w kraju, zwykł był mawiać:

— Polacy wtenczas by króla szanowali, gdyby wiedzieli, że po Tytusie będzie im Nere panował.

*

Radziejowski, kardynał, zafrasowanemu Janowi Kazimierzowi powiedział:

— Miłościwy Panie! na świecie jak w łaźni, im kto wyżej siedzi, tem bardziej się poci.

*

Gdy Henryk Walezyusz się troskał, że w jego Radzie Koronnej same nieuki a zarozumiałce władzę mają, rzekł legat papieski:

— Rozumię twoją obawę, mości królu, bo choć większa moc Boska niż złość ludzka, to jednak głupocie

człowieczej i łaska Boża nie zawsze zdzierży.

Ze Sejmu.

Gdy już pakt między ludowcami a narodową demokracją został zawarty i Głabiński na znak zgody podał rękę Witosowi, ten ostatni zapytał:

— A kiedy mi znowu dajeta w tyłek?

— Jak go nam tylko pokażecie! — odparł Głabiński.

*

Za połączenie się z prawicą jeden z kahałów postanowił rzucić na Witosą t. zw. wielką kłatwę.

Dowiedziawszy się o tem Witos napisał im:

— A przysyłajta Waszą kłatwę skoro, bo jak już będą chrzanowe liście, to nic mi po niej.

Dobra waluta

jest

szczęściem narodów!

Ofiarowujcie złoto i srebro na podkład przyszłej waluty polskiej.

BITWA NA NIEBIE

Co? Gdzie? Jak? Kiedy?

Prześlij 1500 mk. pod adresem:

W. NARODOWICZ, ul. Krochmalna 83 w Warszawie, a otrzymasz odwrotną pocztą ciekawą Książkę pod powyższym tytułem.





USTAWA

dotycząca państwowej pomocy lekarskiej dla urzędników polskiej Rzeczypospolitej.

1. Każdy urzędnik ma prawo do pomocy lekarskiej ze strony państwa a to pod następującymi warunkami:

a) w czasie choroby winien jest władzy przełożonej przedłożyć atest, podpisany przez 3 powagi lekarskie (profesorów Uniwersytetu lub członków Akademii Umiejętności), że choroba jego jest rzeczywistą, a nie urojoną lub symulowaną;

b) naprowadzić wiarygodnych świadków, że petent nie nabawił się choroby lekkomyślnie (np. przez latanie aeroplanem) lub w sposób ze stanem urzędniczym niezgodny (przez zbytne spożycie ostryg, nadużywanie kąpieli morskich itd.);

c) wykazać w sposób dostateczny, że źródło danej choroby nie leży w dziedzicznym obciążeniu;

d) naprowadzić dowód, że w razie braku pomocy lekarskiej choroba może mieć śmiertelny wynik;

e) udowodnić, że pacjent celem samodzielnego wyleczenia się zastosował już wszystkie t. zw. środki domowe bezskutecznie;

f) uprawdopodobnić, że pacjent po odbytej kuracji rządowej będzie mógł

nadal z pożytkiem dla państwa pracować;

g) zobowiązać się pod przysięgą służbową, że pacjent niepopadnie w recydywę;

h) że chorobą swą nie zarazi innych osób mających także prawo do państwowej pomocy lekarskiej;

i) przedłożyć świadectwo fizyka rządowego, że pacjent posiada na tyle silną konstytucję, aby bez szkody dla swego zdrowia poddać się państwowemu leczeniu.

2. Od leczenia na koszt państwa są wyłączone:

a) choroby umysłowe;

b) tzw. choroby kawalerskie;

c) choroby narządów głosowych, pokarmowych i trawienia;

d) słabości położnicze;

e) choroby samozawinięte (n. p. z niedożywiania się itd.);

f) choroby zagrajniczne (n. p. angielska, jeżdżenie do Rygi, egipskie zapalenie, choroba Basedowska, hiszpanka itp.);

g) choroby luksusowe (złota żyła, taniec św. Wita i inne);

h) choroby o charakterze antypaństwowym (obstrukcja, parchy);

i) choroby tzw. gabinetowe (bezwład ciała, uwiad starczy, anemja, paraliż mózgu);

j) choroby antybelwederskie (tu należy postrzął i wszystkie cierpienia,

których diagnoza jest Niewiadom-a).

Przełożony biura po sprawdzeniu, czy stan chorego petenta odpowiada powyżej wyszczególnionym warunkom, odsyła odnośne podanie do naczelnika II. instancji.

4. Ze względów oszczędnościowych i celem uproszczenia procedury lekarskiej naczelnik II. instancji czeka z załatwieniem podania aż się zgłosi więcej pacjentów tej samej kategorii chorób, poczem w drodze Izby lekarskiej rozpisuje przetarg publiczny in minus na kumulatywne leczenie chorych funkcjonariuszy.

5. W czasie konieczności zabiegu amputacyjnego odjęte pacjentowi części ciała przechodzą na własność Skarbu Państwa.

6. W czasie choroby wymagającej ścisłej diety, Izba obrachunkowa redukuje odpowiednio pobory pacjenta.

7. Pacjent, któryby sądził, że ordynujący lekarz postawił co do jego choroby fałszywą diagnozę, albo, że nie zażywa wszystkich powyższą ustawą zastrzeżonych dobrodziejstw, ma prawo w terminie najdalej jednorocznym wnieść rekurs do Rady Ministrów, a w razie odrzucenia rekursu odnieść się do Rady Ambasadorów.

8. Ilość pacjentów z ogólnej liczby urzędników państwowych nie może przekraczać rocznie 1/4% pro mille.

Sikorski, Chodźko et Cons.

Najbogatsze państwo.

— Czy wiesz, które państwo jest najbogatsze na świecie?

— ?.

— Polska.

— Dlaczego?

— Ogólnie jest znanem, że Żydzi mają najwięcej pieniędzy, a ponieważ z wszystkich państw w Polsce najwięcej mieszka Żydów, więc...

A więc dlatego!

— Panie majster! Do robienia bucików z wąskimi szpicami nakłonili was, szewców, chyba tylko operatorzy nagniotków.

— Przeciwnie. W takich wąskich bucikach nagniot niema miejsca gdzie rósć...
Mar.

Kochany Szczutku!

W kularach sejmowych kursuje odpis następującego wniosku urzędowego, jaki ze strony ministerstwa sprawiedliwości miał wpłynąć do łaski marszałkowskiej:

L. 18. 647. b. ex. 23. W odstąpionych ministerstwu aktach sądu powiatowego w sprawie karnej posła Franciszka Ulęgały przeciw posłowi Mateuszowi Sprale o pobicie, znajduje się atest lekarski opiewający na

ciężkie uszkodzenie politycznej części głowy wpięrow wymienionego posła przez powoda. Istnienie takiego atestu podaje ministerstwo do wiadomości Wys. Sejmu celem zbadania i zastanowienia się, czyby wobec tego posła Ulęgały jako niezdolnego do dalszego wykonywania czynności poselskich nie należało skłonić do złożenia mandatu, albo przynajmniej zawiesić go w wykonywaniu tychże czynności aż do wyleczenia się z odniesionych obrażeń na politycznej części głowy.

Celem zbadania tak niezwykłego pisma, wyłoniono sejmową komisję, która skonstatowała, że atest, który gorliwemu i dbałem o dobro Rzeczypospolitej referentowi ministerstwa dał pochop do postawienia powyższego wniosku, „opiewa” na uszkodzenie potylicznej a nie politycznej części głowy.

On to tak pojmuje...

— Prawda tatusiu? We Francji liczy się na franki, w Anglii na funty, w Ameryce na dolary a u nas na tysiące!
Mar.

Lojalność „Robotnika”.

Dowiadujemy się z pewnego źródła, że w razie dojścia do skutku

porozumienia prawicy z Piastowcami organ centralny P. P. S. „Robotnik” zmieni napis w nagłówku, opiewający obecnie: „Niech żyje rząd robotniczy i włościański” na „Niech żyje rząd prawicowy i włościański”.
Mar.

Pomiędzy małżonkami.

Mąż (w pasji): Czem ty byłaś, gdy cię prosto od kasy z kawiarni „Orfeusza” zaprowadził do ołtarza?

Żona: A czem ty byłeś, ty, co kasjerki prosto z „Orfeusza” do ołtarza prowadzisz?

Dziecięca logika.

— Mamusiu, czy można zabić kogoś, kto nie żyje?

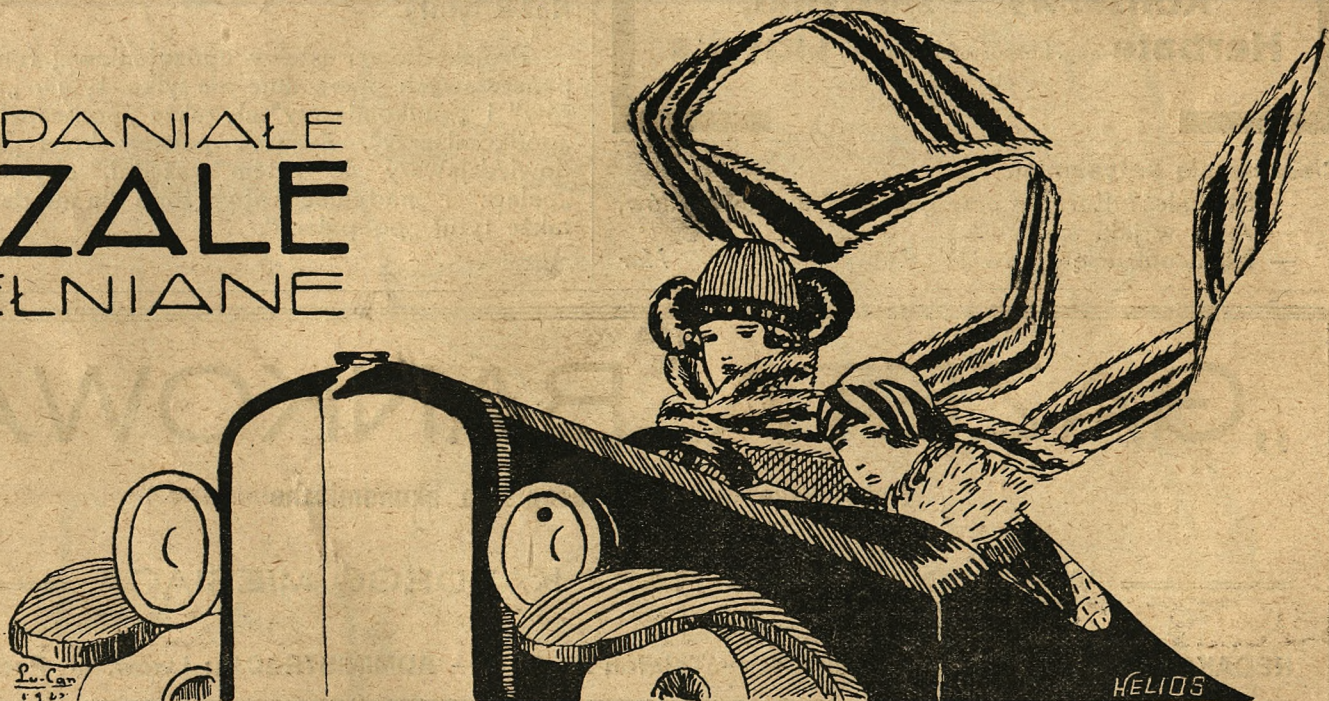
— Wykluczone!

— A sam słyszałem, jak dozorca domu krzyczał na naszą kucharkę, że zabiła klozet!
Mar.

Repertuar teatrów warszawskich.

R. H. Inżynier, znany *Skąpiec* ale nie *Wróg kobiet*, spotkał na *Ziemi Nie-ludzkiej Afrykanke* i zawołał do niej: „*Królowo Fal — Musisz być moją!*” Lecz ona odrzekła: „*Nie jestem Damą Pikową, a tu nie wieje Samum, Tere-Fere-Kuku!*”.
Mar.

WSPANIAŁE
SZALE
WELNIAŃE



STWORŃSKIEGO-SYNOWIE
LWÓW: PL. MARJACKI 10



„SPORT“

Urzędowy organ Polskich Związków: Lekko-atletycznego, Pływackiego, Szermierzy, Polskich Towarz. Atletycznych, Łyżwiarzkiego, Lwowskiego Zw. Okr. Piłki Nożnej, Tow. Zabaw Ruchowych we Lwowie i Centrali Akademickich Związków Sportowych w Warszawie.

Wydawca: **Spółka Akc. Wyd.** Redaktor nacz. **prof. R. Wacek**

Cena numeru 2.000 Mp., Prenumerata kwart. 24.000 Mp.
miesięczna 8.000 Mp.

Adres Wydawnictwa: **Lwów, ul. Zimorowicza 5. Tel. 581.**

Rocznik „Sportu“

zawierający 626 stron druku, 440 ilustracji, 31 karykatur, do nabycia w Administracji „SPORTU“ w cenie 25.000 Mp., z przesyłką pocztową 27.000 Mp.

Prenumerujcie „SPORT“ — **jedyny sportowy tygodnik na Kresach Wschodnich.**

D/H Kulinarno-Gastronomiczny **KURLUK i BOBROWSKI**

Sp. Akc.

Warszawa, I-sze Hale Mirowskie

Tel. 7-29, 139-84, 84-81.

I-szy Oddział miejski w Hotelu „Polonia“

poleca w hurcie i detalu — świeżo nadeszłe

Sery à la szwajcarskie z Finlandji **Kawior**

Konserwy — Sardynki,

Herbatę ang. bezpośredn. importu **Lloyd'a**

etc. etc.

Cieszcie się antysemitami.

- Słyszałeś? Europie przybyło 60 milionów żydów.
- A to w jaki sposób?
- Niemcom ucięto kawałek Ruhry.

Mar.

Niezwykła uroczystość.

W tych dniach obchodzona będzie w Warszawie dwuletnia rocznica rozpoczęcia rokowań prawicy z Piastem. Uroczystość ta, zapowiadająca się wprost świetnie, rozpocznie się nabożeństwem w katedrze św. Jana, poczem poseł Głabiński wygłosi mowę powitalną ze strony prawicy — a Witos także mowę ze strony Piasta. Redaktor „Rzeczypospolitej“ poseł Stroński wygłosi odczyt p. t. „O wartości rokowań prawicy z Piastem dla państwa i społeczeństwa“. Spodziewany jest udział kilkuset delegatów.

Mar.

Nowe tytuły.

Projekt nowej ustawy uposażeniowej funkcjonariuszy państwowych przewiduje nie tylko tytuły „nadinspektorów“ i „nadkomisarzy“ ale także „podinspektorów“ oraz „podkomisarzy“. Związek palaczy kolei państwowych, dowiedziawszy się o tem, zażądał, aby obok tytułów „palacz“ i „nadpalacz“ stworzono dla młodszych palaczy także tytuł „podpalacz“.

Mar.

„GAZETA BANKOWA“

Największe w kraju czasopismo ekonomiczne

WYCHODZI DWA RAZY KAŻDEGO MIESIĄCA.

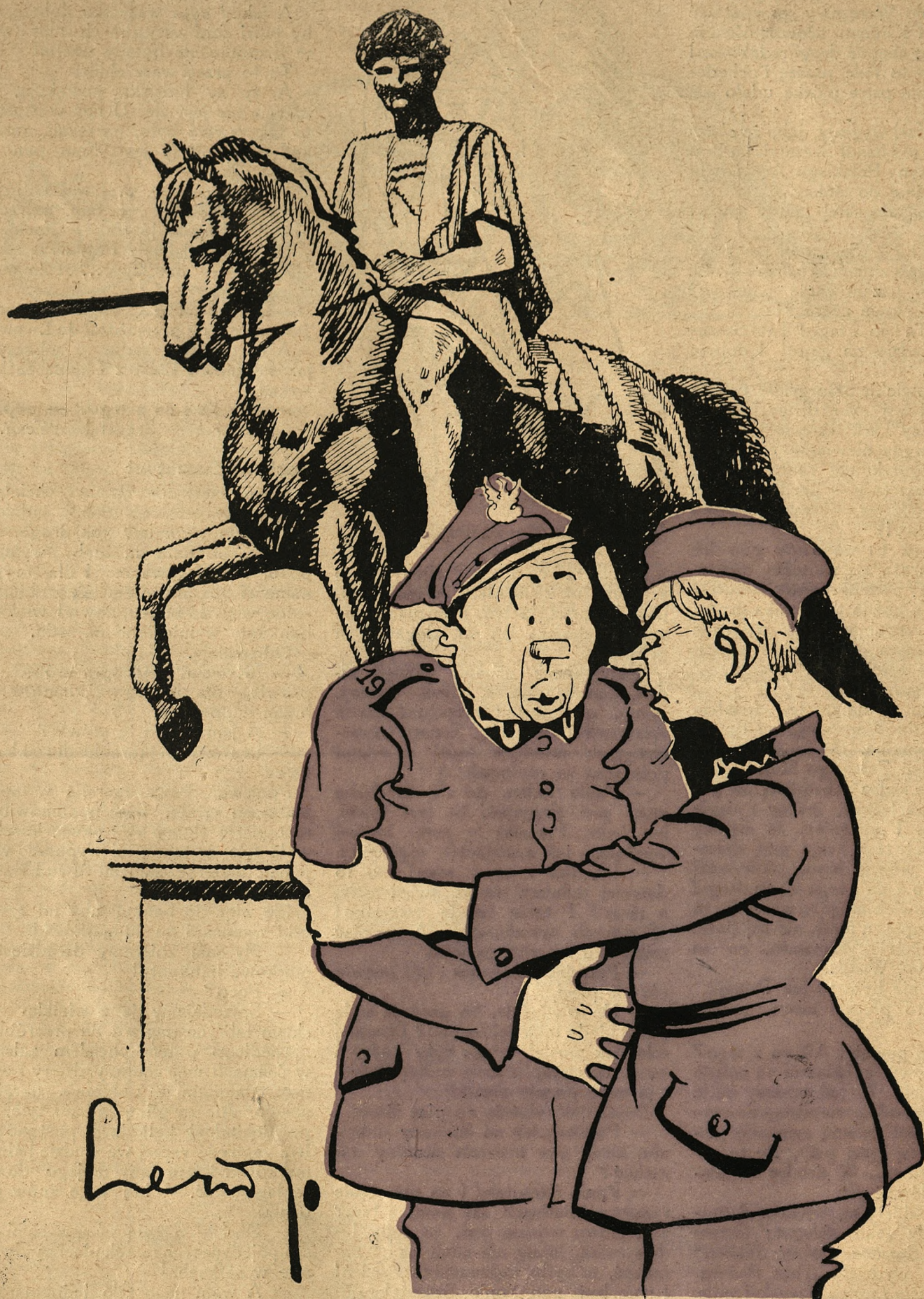
REDAKCJA: Lwów, ul. Akademicka 4. — Telefon Nr. 581. — ADMINISTRACJA: Lwów, ul. Podwale 3.

PRZEDPŁATA: Kwartalnie 18.000 Mkp.

Prenumerata zagraniczną o 100% drożej.

PO ODSŁONIĘCIU POMNIKA.

Rys. Z. Czernański.



— Widziałeś? — Te świny bolszewiki puściły na goło nawet naszego księcia Józefa!

lii? Ta i co z tego?

— Kochany Szczutku! — rzekł redaktor dnia bardzo nie pewnego. Polecisz sobie do Warszawy przypatrzyć się Fochowi i innym uroczystościom.

— Bardzo chętnie drogi redaktorze! — odrzekło to miłe ptaszę i ochędzyszy swoje pstre piórka udało się w podróż.

Dla większej wygody, jako że *chitry* to ptaszek, przysiadł Szczutek na krawędzi maszyny Polskiego Aerolloydu lecącej właśnie do stolicy.

Z głębi pasażerskiej kajuty rozległ się chichot:

— Hi — hi — Szczutek, jak Boga kocham, jedzie z nami! kochane bydle!

— Moje uszanowanie państwu! Dziękuję za słowa uznania!

— liii? Ta i co z tego! Taki Szczutek to se jedzie na gapę! I dobrze mu!

A ty człowieku płac grube tysiące i jeszcze si bój cału drogy, że jak zlecisz, to sy kark skręcisz! Bo to w Polsce nigdy niewiadomo... narzekał jakiś zgorzkniały radca b. c. k. namiestnictwa (ach — pardon — obecnie województwa — zresztą to tylko kwestja nazwy!).

— I czegoż to szanowny pan dobrodziej naraża się na takie niebezpieczeństwa? pyta uprzejmie Szczutek.

— lii... Ta kolejka takży taka droga, a tak si przynajmniej raz przejedzi tym aeroplanym — twierdził właściel kamieni żółciowych.

— A dokąd że to?

— Ta do Widnia, te, chciałem powiedzieć do Warszawy, na ty odsłonięcie pomnika. Bo to prawi jak cysarski dzień Trzeciego Maja!

— A pan radca dobrodziej nie podziwia? Tak lecimy, lecimy i ciągle nad Polską. I pomyśleć, że myśmy każdy kilometr tego kraju pod naszymi nogami, własną krwią zdobywali!

— liii! Ta i co z tego kiedy drogo! Dawniej człowiek mógł to wszystko za 2 korony kupić, a teraz, nie daj Boże!

— O, właśnie Warszawa, co za cudne miasto! Wisła...

— Eee... nie było to jak Dunaj!

— Ależ to przecie nasza, polska rzeka.

— No, ta pewnie! Ali co z tego?

Ptak stalowy wylądował na polach mokotowskich. Tu już czekały auta. Szczutek trzymał się nieodstępnie swego radcy. Czuł dziwną sympatię plemienną dla tej łysej pały. Bo to zawsze ze Lwowa... W drodze do miasta radca tłumaczył:

— Bo to widzi pan, kochany Szczutku, ja niby jako delegat; jestem prezesem „Bractwa Dobrej Śmierci” i członkiem wydziału „Tow. Polewania Ulic miasta Lwowa” i wysłali mnie, abym si popatrzył na tego Focha...

— Wielki człowiek, bóg wojny, marszałek Francji...

KARYKATURY WOJSK. JOTESA.



Gen. Rozwadowski.

— liii, ta i co z tego? Kiedy chleb kosztuje już 2500 Mk.! A tyn Foch, jakiś Francuz, ja tym Francuzom nie wierzę, cholera ich wi, dogadać si ni można.

Wszystkimi ulicami płynęli ludzie, panowie, panie, dzieci — tłumy, tłumy, wszystkimi arterjami miasta maszerowało wojsko... Szeregi uśmiechniętych młodych ludzi z orłami polskimi na hełmach...

— Panie radco, no ale tu chyba musi pan przyznać, że jest lepiej, jak było. Przecież te pułki inaczej wyglądają jak austriackie regimenty.

— liii, tak i co z tego! Bo to dawniej żołnierz się aż świecił cały, a teraz? I takie młode wszystko! W szarych mundurach... A ty płac człowieku na nich podatki.

— Przecież pan radca i tak prawie nic nie płaci...

— No to właśnie, bo poco ja będę płacił kiedy takie łajdactwo? Dawniej człowiek musiał — nie było rady, a teraz, to mamy przecie wolną Polskę i ja mam jeszcze płacić?

Dojeżdżali właśnie na plac Saski...

— Powiedzcież mi kochany radcuniu, kiedy pan wreszcie skończy narzekać?

— Panie Szczutek! I co pan takie rzeczy powiadasz? Żle panu z tym? Tak przecie zrozum pan, że coby ludzie robili, jakby nie mieli na co narzekać, to byłby najsmutniejszy dzień! I sam byś, pan, panie Szczutek, poszedł z torbami, bo o czym byś pan pisał? Nimiał by si pan z czego naśmiewać i interes wam by zrobił plejty!

Bo teraz, to sy ludzie kupują, taki kolorowy gazety i czytają, co tam o nich napisali i lżej im potem, co si z samych siebie uśmieją.

A jakby było wszystko dobrze, to by ludzi sobi wszystko chwalili i was ze Szczutka nie byłoby trzeba!

Ta to przeci wasz chlib!

A ży sy ludziska postękują, to przecie nie jest złe. U nas w Austrii to tak zawsze było, narzekali, narzekali — i dobrzy jest. Sam pan to chyba wisz!

— Tatuńciu — przerwał entuzjastycznie Szczutek — tam, patrzcie, pomnik księcia Józefa — Foch — generałicja polska — Polski rząd koalicyjny — patrzajcie... Pamiętny dzień...

— Ja już widział większy parady. Jak sam cysarz przyjeżdżał do Lwowa!

A co do tego rządu, to zobaczym jak się znowu Piast z Chjeną za łeb wezmą.

— liii! Ta i co z tego? — odparł nauczony już — Szczutek. *Tenit.*

Kochany Szczutku!

Mimo ciężkich czasów chciałem sobie wytapetować pokój jadalny. Ale tapety wypadły tak drogo, że tańszym kosztem możnaby wylepić pokój stumarkówkami. I dla oryginalności postanowiłem tak zrobić.

Idę więc do banku, aby mi większe banknoty wymieniono na setki.

Odmawiają.

— My sami ściągamy stówki za prowizją dla jednego z klientów — brzmi odpowiedź.

— A jemu naco te stówki?

— Lepi z nich torebki dla sklepiarzy.

Ponieważ trawa morska w moim materacu zgniła, więc postanowiłem zastąpić ją słomą. Ale słoma kosztowała tyle, że taniej mi wypadło wypchać materac samymi dwudziestomarkówkami.

Idę więc do banku, aby mi tysiączki wymienili na 20-markówki.

— My sami zbieramy dwudziestomarkowe banknoty!

— Poco?

— Sprzedajemy je z wielkim zyskiem fabryce papieru na przeróbkę.

Niedługo potem chciałem zalepić w ścianach mej chałupy dziury i wyrwy, pamiątki z oblężenia ukraińskiego. Ale za glinę żądano tyle, że po dokładnej kalkulacji postanowiłem zagnieść raczej we wodzie jednemarkówki i tem rany mojego domu zakłajstrować. — Idę więc znów do banku.

— Oho — mówią — my sami za sto pojedynczych marek płaciły dwieście w setkach.

— A wam naco tyle jednemarkówek?

— Przerabiamy je na brykiety i sprzedajemy rządowi na opał.



Z Cyklu: BAJKI SJAMSKIE.

Zwierciadło:

Było to bardzo, bardzo dawno, w królestwie Białego Słonia.

Do potężnego Bhangbhang przystąpił na targu biały kupiec i pokazał mu przedmiot jakiś płaski, kwadratowy, owinięty w błękitny jedwab.

— Kup, potężny, tanio sprzedam.

— Cóż to? Oglądnąć chcę.

— Lepiej nie, stłucze się. W domu potężny oglądniesz. To takie tanie, drobiazg. Muszę sprzedać, gdyż jeszcze stłucze się na okręcie.

Łaskawy Bhangbhang rzucił srebrnik białemu i kupił tajemnicze, płaskie zawiniątko. Niewolnik ostrożnie zaniosł je do domu i umieścił na stole.

Usiadł przed kwadratem nieznany sam potężny Bhangbhang. A był to wielki i dobry pan. Podwładni przemawiali doń, zaczynając od słów „jakkajczigodniejszy“, kapłani od imienia jego zaczynali litanję wiernych w dzień Siedmiu Smoków.

Bhangbhang odwinął błękitny jedwab i spojrzał na nieznany, świecący przedmiot.

— Wizerunek!

Lecz w tej chwili twarz groźnego zmarszczyła się okrutnie.

— Co za ohydny wizerunek! Głupie, wylupiające oczy jak u sprośnego byka, na czole krosty jak u bazyliuszka, obwisłe, obrzydliwe wargi starożytnego tapira. Czy to ma być człowiek? Bydlę! Przemoc, fałsz i lubieżność mocią się na tej potwornej paszczy, zwierz!

I choć ogromnie lubiał malunki,

chwycił kwadratowy, lśniący przedmiot w obie ręce:

— Precz z wymysłami białych! Nie będzie paskudztwa w kraju Białego Słonia!

Z brzękiem rozsypały się szczątki zwierciadła.

Szmaragd.

Od wzgórka na lewo, za polami ryżowymi rozciągnęło się błoto.

Lepkie, brunatne, cuchnące błoto. Trujący wyziew wzbijał się z kałuży, niosąc chorobę wysysającą krew ludzką.

Raz nawet wpadło dziecko i przepadło bez śladu.

Aż pewnego wieczoru stanął pustelnik nad moczaryskim i rzekł:

— Błoto, błoto, bądź dobre, nie czyhaj na życie człowiecze. Oto ja ci ofiarę składam.

I cisnął w błoto szmaragd duży, bezcenny. A błoto opryskało pustelnika.

I trąd go stoczył.

pi.

Z naszej dyplomacji.

Jeden z posłów zagranicznych naszej Rzeczypospolitej otrzymał oficjalne zaproszenie na bal ze strony rządu, u którego był akredytowany.

Nie mogąc być na nim osobiście porucił zastąpić się jednemu z młodych sekretarzy legacyjnych, dając mu taką przytem instrukcję:

— Ze względu, że granice naszego państwa są już ustalone, staraj się pan temu paktowi dać wyraz i na zewnątrz, przez więcej swobodne i pewne siebie postępowanie.

Na drugi dzień sekretarz zdaje relację z balu.

— Zastosowałem się ściśle do pańskich uwag — powiada.

— A to jak?

— Przyszedłem na bal w ubraniu tenisowym, ministrową R. pocałowałem przy stole w kark, a ambasadora angielskiego naciągnąłem na sto funtów szterlingów.

Luta historia o bosym bidacku.

Spacerował se Paniezus kole Cęstochowy, jako że lubi to święte miejsce, a tu ulicą jakiś bidocek, goły i bosy, ciągnie taki wielgachny wózek, caluśki wypakowany, a męczy się z nim, a stęka i co chwila pot ze łba i z karku ocira.

Zmiłosierdził się Poniezus nad nim i powiada: pockaj, pomogę ci! a gdy Poniezus ino palic do wózka przyłożył, to juści wózek tamtemu za tyłkiem sam kulać się pocął.

Tak dojechali do jakiś chałupy, a z ni wybiegły dzieciśka, tak samo gołe i bosc i nuze wołac: ociec, kup chleba! kup chleba!

Pyta się ano Paniezus: kćoż ty i co wiesz? A ten na to: ja jestem polski uzędnik i przywozem se miesięczną pensyję. A jakoz odwzięć ci si mam zato, żeś mi wózek sielnie pchać pomóg?

Zastanowił się Paniezus mocno a potem prawi tak:

— Wis co? Jak bede drugi raz wjeżdżał do Jerozolimy, to wsiądę se na ciebie, bo kaj ja najde rzetelniejego osła?



Generalna próba przywitania Marszałka Focha.



Nieunikniony w takich razach, major poezji Or-Ot, wita dostojnego gościa.